

# Gołębiowski, Stefan

---

Realizm z fantazją : (Józef Ozga Michalski, Sowizdrzał świętokrzyski), "Tygodnik Kulturalny" 1973, nr 15 : [przedruk]

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 207-211

---

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

w ołowianych chmurach *Spleenu* czy przykładowo w naturalizmie ekspresyjnym końskiej *Padliny*. Tymi zagęszczeniami oddycha najbardziej ambitna liryka nowoczesna od czasów Baudelaire'a.

Niemalą w niej rolę odgrywała indywidualność twórcy, jako osobowości w sobie się odnawiającej i odnajdującej, która współcześnie coraz bardziej się gubi, gdyż sztuka stopniowo traci rolę wiodącą wobec tryumfów nauki i zwłaszcza techniki.

Prof. J. Starzyński przez poszukiwanie narodzin nowoczesności w romantyzmie, przez rozbudowaną syntezę nie tylko pragnie odkrywczo podnieść skalę badań naukowych w tej dziedzinie, lecz także ożywić szersze zainteresowanie między innymi przez patronat nad projektowanym ośrodkiem badań twórczych przy Muzeum Romantyzmu w Opinogórze.

---

**Juliusz Starzyński: *Romantyzm i narodziny nowoczesności — Stendhal — Delacroix — Baudelaire*. PIW. Warszawa 1972, str. 140, cena 50 zł.**

## REALIZM Z FANTAZJĄ

„Tygodnik Kulturalny”, 1973, nr 15

Od Sowizdrzała czas zacząć. Od chodzonego, nie raczej od gonionego z Furkociem kół ziemskich i niebieskich, z pogonią nóg, w których mieszają się ludzkie i dublowane nieludzkie, z furkotem spódnic, którym zazdrości za szkłem uwięziona halka dewocyjno-księżowska — rozwija się i skręca koło w coraz to nowych konfiguracjach.

Sam Sowizdrzał nie wyskoczył sroce spod ogona. Ma swój rodowód, jak i koligacje. Sięga do tradycji ludowych w głąb do średniowiecza jako Eulenspiegel, czyli sowie zwierciadło (u nas Sownociardłko), wkracza do Renesansu, do Rejowego Zwierzyńca, do różnego rodzaju figlików i facecji, przechodzi do baroku, do ogrodu nieplewionego z fraszek Potockiego, należy do literatury straganiarskiej i odpustowej z dziewiętnastowiecznym Janem Okpiświatem na czele. Sowizdrzał spokrewniony z Marchołtem na dobre i na złe zaaklimatyzował się u nas i stał się postacią rodzajową i rodzimą. Jak zwierciadło po gościńcach, wędruje po górach i lasach, polny i wieśny, zadowolony w dworkach

i chatach, w plebaniach, w klasztorach i wszędzie tam, „gdzie nie posięją mię, wyrosnę”. Nogami mocno trzyma się ziemi, a głową tkwi w niebie. Przedstawiciel realizmu podminowanego fantazją.

Cóż bardziej przewrotnego niż powagę łączyć z humorem błazeńskim, żeby dotrzeć do podwójnego dna rzeczywistości. Już sam przegląd bardziej charakterystycznych wątków o tym wymownie świadczy.

Rzecz zaczyna się w kurii biskupiej. Błyskają pierwsze kielce humoru. Mianowanie wikariusza Giemzy na proboszcza w Ociesękach i biały piesek, co wyskoczył z fałd amarantowej sukni biskupiej. Jawa czy zjawa? Tylko dwie kostki cukru na osłodę dla łamiących sobie głowę.

Bohaterem jednak okaże się nie Giemza, chociaż też należał do tych, „które szły na lakierki dla panów”. Brak mu nawet imienia. Furkoć i jego kolasa górują nad nim. Wszak jadą na spotkanie Jana Kolasy. Jan mu było na imię. Jak Chrzcicielowi. Przygodne spotkania, przyjęcie pod dobrą datą i łożę ze snem sprawiedliwym. Sutanna zmienia właściciela.

Jan Kolasa na wzburzonych grzywach dojeżdża do plebanii w Ociesękach. Nazajutrz akt uroczysty. Dwaj proboszcze w asyście, jakby Pan z Oblęgorka do życia ich powołał. Wysoki na miarę Podbiپیęty Hektar i okrągły jak Zagłoba Kolenda, co mógł siedzieć zarówno tyłem jak przodem i nikomu nie uczyniłby tym defektu. Odpowiednie ramy do niebywalej osoby duchownej. Dla Sowizdrzała świętokrzyskiego, którego do życia powołał Józef Ozga Michalski.

Po dniu uroczystym i ceremonialnym noc i tęgie wesele. Nie tyle spod Łowicza, co spod Kobieli Wielkich w stylu błazeńskim. Żywiolowy taniec i żywiolowy apetyt walczą o pierwszeństwo. Bigos hultajski na dobitkę. Aloes robi swoje. Pod Wielkim Wozem toczy się wóz drabiniasty z nagimi półksiężycami wystającymi ze szczebli i zamiast Drogi Mlecznej droga złotem zafajdana.

Po trzech dniach zaproszenie na polowanie od nadleśniczego Puzyny. W związku z tym jakby z Kafki poszukiwanie strzelby na strychu. Zamiast niej wielka świeca i „pal jak ze świecy”. Wyskakuje dubeltówka.

Ogary poszły w las. W Puszcze Jodłową. Za odyńcem biegają myśliwi. Widzenie, myśl i skok dzika. Jeździec spłaszczony na grzbiecie. Umykający odyńiec ma dwie głowy: z przodu i z tyłu. Ścigany przez benedyktynów wpada na dziedziniec klasztorny, skąd nie ma ucieczki.

Trafiamy do centrum mnichów świętokrzyskich. Nie ma co tu szukać wojny mnisiej, chociaż finał jak w *Monachomachii* podobny. Obżarstwo setnie zapijane i wielebne głupstwo panoszy się.

Jak na zawołanie zjawia się biskup Pańkoń. Na cześć jego w jadłospisie przewidziana jest jajecznicza z jaj motyli. Nie ma co, warto żyć. Módlmy się, żeby końca świata nie było. Nie bez sowizdrzalskiej uwagi. Gdyby naród dotknęła klęska głodu i wszyscy musieliby umrzeć, to księża umarliby ostatni.

Przysłowia, porzekadła ludowe, aluzje literackie, metafory obrastające w treść sowizdrzalską w sposób tak naturalny, jakby były wzięte z życia prawdziwszego niż rzeczywiste.

Schodzimy do podziemi klasztornych, żeby się dostać do o mile odległej Świętej Katarzyny. Od kaplicy Oleśnickiej wiodą nas męska i żeńska, dwie siedmiobarwne tęcze. Zwornik tworzą cztery Westalki, Panny ognia świętokrzyskiego. Oczy wzlatują do chórów niebieskich i od sklepienia stręcane spadają na ziemię. Rozum dnia ustępuje rozumowi nocy.

Przez królewską drogę docieramy do bernardynek. Po uczcie cieleśnej uczta duchowa. Teatr, śpiew, muzyka, taniec. Matka Katarzyna reżyserem spektaklu aż do ostatniej kreacji: Jestem baba. W tym ulu-babie kryją się za klapą majtek wszystkie siostrzyczki zakonne i ze swoją matką ulo-pszczelą odpływają w krainę snu.

Zakonnicy z biskupem wracają do Świętego Krzyża bez przeora. Zawieruszył się i Jan Kolasa udaje się na jego poszukiwanie. Wielebny Ojciec przy załatwianiu się przez barana został zepchnięty do dołu i zbaraniał w jakże kłopotliwej sytuacji.

Jan Kolasa ratuje Ojca Felicjana w opresji i sam się nadziewa na capa. Za mało mu było jazdy na odyńcu i teraz odrzutowcem jedzie na baranie. Rogi przebijają sklepienie klasztorne i przy słowach: Baranku, który gładzisz grzechy świata, rozbijają konfesjonał z grzechami. Całe szczęście, że Jan Kolasa po krętych schodach barana zagnał na chór i tam go umieścił w złotym wnętrzu organów kościelnych.

Jakże daleko odbieглиśmy od polowania na dzika. Czas najwyższy wracać do parafii. Nim to nastąpi, nasz bohater, bierze udział w przeprowadzce dzwonów do klasztoru, żeby lepiej Góry Świętokrzyskie dzwoniły.

Po ryku odyńca, organowym buczeniu barana do głosu dochodzi Kontrabas, pies posłaniec. Za jego sprawą zjawia się niezawodny Fur-

koć. Następuje powrót znacznie mniej atrakcyjny od wyjazdu. Już nie jest odnajdywaniem samego siebie, lecz jakby poszukiwaniem.

Proboszcz schodzi do roli o rangę niższej. Jest lekarzem krowim, końskim, babę ratuje od plagi mysiej, złodzieja od złodzieja. Jak w średniowiecznych moralitetach szermuje mądrością życiową. Refleksją nas raczy, w co trudno uwierzyć, bo jest za wielkim wesołkiem, czaruje urokami opisów, w co trudno uwierzyć, bo jest za wielkim realistą.

Jakby osmotyczne wiązanie realizmu z fantazją, pogranicze rzeczy traktowanych na serio i z żywiołowym humorem, zatracalo się i nie wytrzymało próby czasu.

Na szczęście ksiądz Gienza jako wikary wraca do parafii. Umknął do dworu Myszkowskiego z córą zakonną dziedzicą Brygidką i jako syn marnotrawny powraca na łono Kościoła. Jest to powrót nie byle jaki. Z ogierem otrzymanym za Kontrabasa, który stał się Sekretem.

W ten sposób jakby Pegaz wkroczył do znakomitego finału. Odpust. Msza celebrowana przez biskupa Pańkonia, pod niejednym względem podobnego do biskupa z Arras. Procesja z Pańkoniem na ogierze pod baldachimem czterech jeźdźców tworzy swoiste apogeum odpustowe.

Patronują mu dwie niezrównane historie zaczerpnięte nie tyle z żywotów świętych, ile z ludowych apokryfów. Pierwsza, wzięta z życia doczesnego świętej Tereski, mimo rumieńców wstydlivego humoru usępuje jednak drugiej, znacznie głębszej i bardziej istotnej.

Święty Emeryk pod Nową Słupią o kilka staj od klasztoru stał pogrążony w niebieskim śnie i nie prędko by się zbudził, gdyby nie odnalezione świętokrzyskie dzwony. Drgnął pod ich wezwaniem i ruszył do Świętego Krzyża powolutku, ale co dzień na odległość ziarna bobu. Jeśli do niego dojdzie, jak legenda głosi, będzie koniec świata.

Wizja końca świata spędza sen z oczu zakonników. Przeor listem błaga o radę. Nie ma innej podług Jana Kolasy, jak tylko z reguły każdy zakonnik ma spożywać jedno ziarno bobu co dnia, a w dzień dorocznej procesji do figury świętego - wszyscy uczestnicy mają bobem się raczyć.

Rada poskutkowała. Jan Kolasa dał bobu świętemu i ten w determinacji zaczął się cofać. Święty się obraził, zakonnicy z jednej biedy popadli w drugą. Dzwonić czy nie dzwonić, jeść bób czy przestać?

Już Konstany Ildefons drwił sobie z końca świata, ale mało kto tak zabawnie sformułował finalne wnioski katastrofizmu i antykatastrofi-

zmu. Powstał wielki strach, raz z powodu gwałtownego zbliżania się końca świata, drugi raz z powodu jego oddalania się w nieskończoność. Nadmierny pesymizm i przesadny optymizm wzajem sobie sekundują.

W ten mniej więcej sposób przedstawia się kreacyjna nadbudowa wątków w skrótovej wersji mogąca budzić wątpliwości swoją fragmentarycznością. W powieści tonie ona w konkretach i realiach, tkwi w słowach i między słowami się przelewa. W tym właśnie jej novum. Nadrealizm w realiach bardziej osadzony i ugruntowany.

Zamiast z chłopa król, z chłopa proboszcz, z własnej, nie z cudzej woli. Żywy, ludowy, wyrosły z tradycji rodzimej i literacko samoswój. Zadomowiony w swojej roli jak Jakub z Myśliwskiego pałacu z nieodstępnym końcowym odczarowaniem.

Jak zielony Gałczyński, ma swoją Natalię, którą z konieczności musi porzucić, bo już przestał być proboszczem i nie ma prawa do gospodyni.

Jan Kolasa bez kolasy Furkocia rusza pieszo do Belna, Ozgowych rodzinnych Bielin. Zrobił swoje i ma rację, kiedy mówi: sądzę, że nie sztydłem ani z zabobonności prymitywnej, ani z wiary, nie nadużywałem piękna ani prawdy.

Sowizdrzał z literatury jarmarcznej, straganiarskiej, odpustowej zstąpił do powieści. To nie tylko świętokrzyski awans, to triumf.

---

Józef Ozga Michalski: *Sowizdrzał świętokrzyski*, LSW 1972.

## PRZEWRÓT PAŁACOWY

„Tygodnik Kulturalny”, 1974, nr 15 (14 IV)

Początek. Nie. Raczej finał wojny. Pałac wyzwolony, pusty. Nie od frontu, od tyłu, od kuchni wejście. Z jedynym bohaterem żywym o bliźnim imieniu Jakub. Owczarz, sługa pozapałacowy i zarazem ze sługi pan, jak ongiś z chłopa król. Nie z woli przez drwinę cudzej, lecz z własnej przez pałac ujawnionej. Przez *Pałac* Wiesława Myśliwskiego, powieść otwartą w swej problematyce i w formie na wskroś nowoczesną.

Zamiast akcji strumień świadomości narratora. Nie labirynt ulic w zasięgu miasta prototypu, lecz korytarzy i pokojów z ich wewnętrznym wyposażeniem, z ich martwą naturą rzeczy.